



4 (Ciąg dalszy).

Na ich tle ponurem rysowała się postać blade-go Żarskiego, który niegdyś spędzał bezsenne noce u wezglowia umierającej Geńci... a teraz skazany będzie do ciężkich robót na Syberyi, za zbrodnię, której nie popełnił.

IV.

Kazimierz przeszedł przez szeroko rozwartą bramę, frontowej kamienicy i znalazł się na długim podwórzu, zakończonym w głębi murem poprzecznym, za którym — w pośród ogrodu — wznosił się piękny, stary dom, rezydencya od dwóch wieków jego przodków, wstawionych w palestrze i sądownictwie: wiedza, rozumem i prawością. Druga brama w murze była jeszcze także otwarta, lecz zaledwie młody człowiek ją minął, ręka stan-greta, spełniającego obowiązki stróża, zamknęła ją na klucz. W tem, niemal wiejskiem zaciszu, do którego wrzawa wielkiego miasta dolatywała zaledwie cichem echem, tuż za murem na lewo stała stajnia i wozownia, na prawo zaś cieplarnia z egzotycznymi roślinami i domek ogrodnika. Wysokie lipy i jesiony — odarte już w tej chwili z liści przez wiatry jesienne — oraz kilka czerniałych kamiennych posągów, tworzyły rodzaj alei, wiodącej przed fasadę niewielkiego, lecz ślicznego gmachu, zbudowanego w XVIII stuleciu, w stylu przekwitającego renesansu.

Kazimierz wsunął się powoli przez uchylone nieco drzwi do wielkiej sieni, oświetlonej wiszącą u sufitu latarnią z kutego żelaza, z kolorowymi szybami. W chwili, gdy chciał wstąpić na schody, wiodące na pierwsze piętro, stanęła przed nim w półcieniu czująca postać kobieca.

— Ach, to ty Geńciu! — zawołała.

— Tak... Nie położyłam się spać jeszcze, bo ojciec cierpiał dziś na migrenę, więc nie chciałam go pozostawić samego. Powrócił późno z sądu, gdzie prowadził podobno jakieś ważne śledztwo. Siedzi teraz w swojej pracowni, więc ucieszy się bardzo, jeśli przed udaniem się na spoczynek, zajdziesz do niego na chwilę i powiesz mu dobranoc.

— Ależ najchętniej, droga siostrzyczko.

Geńcia wzięła brata za rękę i poprowadziła go do pokoju ojca.

Ściany gabinetu do pracy sędziego śledczego obite były ciemnym kurdybanem, na którym rysowały się interesującymi liniami ogromne, barokowe szafy z książkami i stare fotele, obite takąż samą jak na ścianach, ciemną skórą z Korduby, wyciskaną w fantastyczne, różnobarwne wzory.

Piotr Molski, dobrze zakonserwowany starzec, liczył lat przeszło sześćdziesiąt. Długie, siwiejące faworyty, okalały twarz jego o wyrazie stanowczym i energicznym. Pod krzaczystymi, szpakowatymi brwiami błyszczały czarne, przenikliwe oczy. Rzadko kiedy przestępca kryminalny wytrzymywał ostrość ich badawczego spojrzenia, wywołującego zwykle szczere, choćby nawet najstraszniejsze wyznania. Kazimierz znał ten wzrok, jak stał połykający — i lękał go się zawsze, obecnie zaś obawiał go się jeszcze bardziej. Jutro, wieść o morderstwie rozbiegnie się po mieście; jutro, Piotr mówić będzie o nim z synem, strach więc przejmował serce młodego adwokata na myśl samą, że drzeniem głosu i bladocią czoła zdradzi się może wobec ojca, który — jako wytrawny znawca ludzi, ich wad, ułomności i instynktów, łatwo odgadnie, że Kazimierz brał udział w ohydnych dramacie.

— A! to ty? — rzekł sędzia, powstając z krzesła. — Wcześniej niż co dzień dziś do domu wróciłeś...

— Czy chciałbyś może, papo, zbурceć go za to? — spytała Eugenia, tuląc się do ojca.

— Oj, ty masz zawsze na zawołanie całą furę wyrozumiałości dla swego ukochanego braciszka! — powiedział Piotr, uśmiechając się pogodnie. Świat wie, żeś najlepszą siostrą i córką; wszyscy

wiedzą także, że starsz się usprawiedliwiać błędy i wady bliźnich swoich. Podobną jesteś do matki, która była świętą niewiastą... Wydarły mi ją galopujące suchoty, które przecież ani w jej, ani w moim rodzie nie były dziedzicznymi. Przeziębła się na pogrzebie jednej ze swych przyjaciółek... Pozostawiła mi was dwoje... Pomyśl sobie, jak okropnie przeraziłem się, gdy w sześć miesięcy po jej zgonie, ty, moja mała, zachorowałaś bardzo ciężko...

— Lecz Bóg nie chciał mnie wówczas powołać do swojej chwały. Dzięki jego łasce, i staraniom młodego lekarza, zastępującego dra Stanisława, wyzdrowiałam szybko...

— Tak, tak. Dr. Marcin Żarski wydarł cię śmierci. Wszakże tak się nazywał ów młody lekarz?

Panna Molska nie odpowiedziała natychmiast na pytanie. Chorobliwa jej bladłość powlekła jej twarzyczkę i jakiś przykry uśmiech wykwitł na jej ustach. Po chwili jednak rzekła:

— Tak, zwał się Marcin Żarski. Od czasu jednak jak wyzdrowiałam, nie widziałam go wcale. Nie wiem nawet co się z nim dzieje.

— Praktykuje prawdopodobnie... może się oze-nił...

— Pragnęłabym, żeby był szczęśliwy. Często... ile razy tylko przypomniałam sobie, jaki był dla mnie dobry, nodliłam się o szczęście dla niego bardzo gorąco.

Kazimierz zamyślony głęboko, stał o parę kroków od siostry, ocierając czoło z występującego na nie zimnego potu.

Już nieraz zastanawiała go wspomnienia Eugonii, a obecnie pytał się siebie, czy w istocie przypadek tylko zetknął go przed godziną z Żarskim, czy nie należało raczej widzieć w tem spotkaniu palca Bożego. Ona nie mogła zapomnieć o młodym człowieku, przesiadującym niegdyś przy jej łóżu w ciągu długiej choroby i następnie, gdy zaczęła do zdrowia przychodzić. Liczyła wówczas lat osiemnaście i jaśniała całym blaskiem niezwykłej krasy. Marcin miał lat dwadzieścia pięć. Mogli, a nawet powinni byli się pokochać... lecz w sercu Żarskiego gościło już inne przywiązanie. Młody lekarz ubóstwiał Klarę, skromną robotnicę, którą postanowił poślubić. Eugenia zaś kocha Marcina. Lecz zbyt skromna i zarazem zbyt dumna, ukryła miłość swoją w głębi serca, żyjącego bolesnem wspomnieniem niepodzielnego uczucia. Wobec faktu, że Marcin nie ukazywał się u Molskich, zamknęła się w niemal zupełnem odosobnieniu, poświęcając się całą na usługi ojca i brata. Ubiegano się o jej rękę wprawdzie, lecz Eugenia, odrzucając wszystkie oświadczenia, zapewniała, że czuje się najszczęśliwszą w domu rodzinnym, więc opuścić go nie pragnie. W głębi duszy uważała się za niepokieszoną wdowę, która wyjść za mąż nie powinna.

Rozdrażnienie, wywołane rozmową o Żarskim, sprawiło, że wcześniej niż zwykle udała się dzisiejszego wieczoru do swego panińskiego pokoju.

Ojciec z synem pozostali sami.

Nie zatrzymam cię u siebie długo — rzekł Piotr Molski — bo muszę jutro rano wstać razem ze wschodem słońca. Mam teraz bardzo wiele do roboty. Nie możesz mieć pojęcia, jak niezabawnem zadaniem jest sądownictwo sumienia ludzkie i wydobywać z nich ukryte skrzętnie tajemnice; zwłaszcza, że między zbrodniarzami nie brak i takich, którzy do popełnienia przestępstwa pod żadnym pozorem przyznać się nie chcą, więc chociaż nieraz mam prawie pewność, że podejrzenia moje są słuszne, muszę winnego wypuścić na wolność, brak bowiem materalnych dowodów nie pozwala mi go więzić i przetrzymywać w zbyt długo trwającym

śledztwie. Po krótkiej chwili milczenia, dodał tonem nacechowanym lekką ironią:

— Lecz, gdy ja pracuję, ty urządziłeś sobie życie wygodniejsze. Spędzasz sobie czas rozkosznie i bez troski... Cóż robiłeś dzisiaj?

— Odwiedzałem przyjaciół.

— I przyjaciółki... chciałeś prawdopodobnie powiedzieć, wiem bowiem, że bywasz bardzo często u pewnej młodej damy...

— Czy ojciec chciałby, żebym wychodząc z domu, prosił go o pozwolenie?

— Proszę cię nie przemawiaj do mnie w ten sposób!... Nadto, pozwól sobie powiedzieć, że mógłbyś zająć się czemś lepszym... a nie umizgać się do kobiety zamężnej.

— Masz słusność papo. Jak zawsze, masz słusność! — rzekł Kazimierz zmienionym głosem, a serce biło w jego piersi gwałtownie.

— Hrabina Jelska jest piękną i miłą osobą, nie przeczę; lecz starszą od ciebie... i ma męża, który może się spostrzedz, że za często przychodzisz... Od podobnego spostrzeżenia, do żądania satysfakcji nie daleko, bardzo nie daleko. Wierząc mi, trzeba zerwać ten niebezpieczny stosunek, narażający na szwank całą twoją przyszłość.

— Powtarzam to sam sobie od dawna, mój ojciec, lecz co może rozumowanie wobec pragnień serca?

— Kochasz ją zatem?

— Ubóstwiam!

— Prawdopodobnie widziałeś się z nią dzisiaj?

— Nie, ojciec.

— Czy tylko prawdę mówisz?

— Przysięgam, że już dwa dni nie widziałem hrabiny Jelskiej.

Kłamał — kłamał bezmyślnie i bez celu, gdyż wiedział przecie, że jutrzejsze policyjne i sądowe badanie stwierdzi niezawodnie, że bawił w pałacu w chwili spełnienia zbrodni.

— Nie jesteś dzieckiem, możesz więc bywać, gdzie ci się podoba — ciągnął dalej sędzia — a nie moją rzeczą mieszać się w podobne sprawy. Pragnę tylko, abyś unikał miłości, obniżających charakter mężczyzny, psujących nieraz najsłabszych ludzi. Jesteś przedewszystkiem dlatego na złej drodze, bo nie pracujesz. Masz dyplom adwokata w kieszeni, więc i możność spełniania najdonioślejszych misji, jakie człowiekowi prawemu przypadają w udziale. Tymczasem próżnujesz, zapominając o świętych obowiązkach względem społeczeństwa, do którego należysz.

Podobne dyskusje między ojcem i synem powtarzały się wcale często, lecz Kazimierz, ulegający wpływowi kobiety, którą ukochał, nie myślał się poprawić.

Powiedziawszy ojcu dobranoc, wszedł na pierwsze piętro i zamknął się w swoim pokoju. Tu ogarnęła go straszna rozpacz. — Dlaczego kłamał? Dlaczego nie przyznał się, że był dziś u Jelskiej? Wszakże przyznając się, odwróciłby od niej i od siebie wszelkie podejrzenie!

Całą noc nie spał. O siódmej zerwał się z łóżka i posłał służącego po dzienniki poranne. Gorątkowo przecztał jeden po drugim. W żadnym nie znalazł wzmianki o zbrodni.

Stało się to za sprawą Selima, który dopiero późno w nocy zawiadomił komisarza policyi o tem, co zaszło w pałacu hrabiego Jelskiego. Selim wiedział o wszystkim, lecz po głębokim namyśle, postanowił zeznawać, że nic nie wie. Uważał, że najlepiej będzie czekać cierpliwie na bieg wypadków, pozostawiając sobie możność, w właściwej i dogodnej dla siebie porze, wyciągnąć największą korzyść z sytuacji, jaka się w przyszłości ułoży.

Ukryty za kotarą przyglądał się ostatniej scenie ponurego dramatu, nie ruszając się z miejsca.